NUMER 45. DNIA 9-go LISTOPADA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Pomnik Grottgera

W KRAKOWIE.

Już to Kraków ma nieszczęśliwą rękę do pomników. Jeżeli się tu co uda pod tym względem, to osobliwość nadzwyczajna. Artyści malarze krakowscy, natchnieni wyższą ideą uczczenia jednego z największych w Polsce przedstawicieli sztuki, postanowili wystawić pomnik Grottgerowi i zabrali się do tego ochoczo. Utworzyli komitet przedewszystkiem do zebrania funduszów odpowiednich. Ciężko im szło bardzo, bo ogół tak samo, jak za życia nie umiał ocenić genialnego artysty, tak i po śmierci niby się jego sławą zagraniczną szczyci, ale go nie rozumie. Cóż tam u tak mało cywilizowanego społeczeństwa, jakiem ostatecznie my jesteśmy, znaczy autor czarno nakreślonych obrazków nie większych nad meter! Matejko polskiej publiczności imponował, bo malował olbrzymie obrazy, jak ściany, i to żywo barwione, które wyrobiły mu u narodu znaczenie, a przytem malował olejno, co też ma u nas większą wartość od akwarelli i pastelu. Przecież przy urządzaniu na nowo muzeum Narodowego w Krakowie, obrazy malowane wodno lub kredkami wysunięto ze sal głównych, a podporządkowano je pod sztychy i rysunki, nie potrzebujące światła. Najpiękniejsze akwarelle zapakowano do Langierówki i popowieszano na ciemnych ścianach, bo to nie olejne dzieła sztuki! I Lituania Grottgera tu do cienia się dostała.

Więc też i Grottger za swoje arcydzieła, węglem i kredką nakreślone, których za życia od niego nikt nie chciał kupić, oprócz cesarza Franciszka Józefa, gdy się o składki na pomnik malarze udali do ogółu, nie znalazł oddźwięku.

Komitet nawet imiennie udawał się do różnych zamożnych osób w kraju, — i to takich, co uchodzą za amatorów dzieł sztuki, i od żadnego z panów nie otrzymał datku. Byłby to skandal, gdyby się nazwiska tych naszych mecenasów wyraźnie wymieniło.

Biedni tedy malarze sami urządzaniem ze swoich prac went, licytacyj i wybieraniem od również niezamożnych osób drobnych datków zgromadzili powoli kilka tysięcy guldenów na ten zamierzony pomnik Grottgera. Naturalnie zamiary sięgały nie wysoko, ale przynajmniej chciano sprawić posąg mistrza w całej postaci z bronzu na najprostszym piedestalu. Figura Grottgera nadawała się świetnie na taki pomnik, bo nietylko miał twarz wyrazistą, strukturę zgrabną, wysoką, ale nosił się po polsku, w stroju powstańców z r. 1863. Dzieła też jego uosabiały tę straszną,

ale bohaterską epokę cierpień i prześladowań narodu polskiego; zyskałby był Kraków pomnik skromny, ale niezmiernie interesujący, krystalizujący społeczeństwo z tych lat.

W komitecie, zrażonym obojętnością ogółu dla pomnika Grottgera, zapanowała apatja, jak zwykle u nas, a w końcu przeważyło zdanie, że zebrany fundusz należy procentować, dopóki się nie utworzy dostateczna kwota na sprawienie pomnika skromnego, ale w każdym razie odpowiedniego do stanowiska w sztuce polskiej Grottgera.

Tymczasem nastała epoka „młodej sztuki“, która żadnych nie stawia wymagań swoim mistrzom. Byle było wrażenie, a jak wykonane, to mniejsza o to. Każdy dziś, choćby bez iskry talentu, bez żadnej nauki, chwyta za pędzel, lub za narzędzie rzeźbiarskie i lepi z gliny bałwana, który im potworniejszy, tem głębsze ma w sobie mieścić myśli. Z farbami łatwiej, bo lada kleks lub plama farbista rzucona na płótno, osadzona w ramę, idzie na wystawę jako obraz i znajduje poklask, bo to płód młodej sztuki. Kto jej nie rozumie i rusza ramionami na te utwory niedołęstwa artystów i artystek, naraża się na zarzut ignorancji i zacofania średniowiecznego.

Chorobie tej ulegli u nas niektórzy nawet znakomici artyści, zarzucając zdobyty stopień swego wykształcenia. Ponieważ lekceważenie całej przeszłości sztuki i poniewieranie dziełami artystów, którzy już przeszli do potomności należy dziś do dobrego tonu u czcicieli „młodej sztuki“, więc niejedna gęś, chodząc po wystawie, manifestuje się znawstwem w ten sposób, iż wychwala największe bohomazy, a z politowaniem wyraża się o dziełach, posiadających rzeczywistą wartość.

Wśród innych artystów postąpił podobnie Wacław Szymanowski, który zająwszy znakomite stanowisko jako malarz i pozyskawszy nawet za granicą uznanie, gdy zawiał prąd „młodej sztuki“, porzucił kierunek dotąd przez siebie uprawiany. Począł malować mgliste na olbrzymich płótnach wrażenia, jakich nikt nie chciał nabywać. Zniechęcony tem niepowodzeniem Szymanowski rzucił malarstwo, został odrazu rzeźbiarzem, bez koniecznych a odrębnych do tej sztuki studjów. Przyjaciele i koledzy jego uznali w nim znakomitość talentu rzeźbiarskiego i żeby mu dać zarobić coś z tego nowego zawodu, oddali mu wykonanie pomnika Grottgera.

Urządził ówczesny komitet, złożony z kolegów Szymanowskiego, komedję konkursową. U nas bowiem konkursy wszelkie z bardzo rzadkimi wyjątkami są farsami wymyślonemi do manienia opinji. Jurorowie przed osądzeniem niby bezimiennie nadesłanych prac na konkurs, wiedzą dobrze nazwiska tych, co mają dostać nagrody. Naturalnie Szymanowskiemu koledzy przyznali pierwszą nagrodę za model na pomnik Grottgera, którego nikt nie spodziewał się ujrzeć w rzeczywistym pomniku. Był to sobie zwykły banalny projekt, po całej Europie rozpowszechniony, w kształcie ławki półkolistej, na środku której słup dźwigał biust Grottgera, a na dole w płaskorzeźbie mieścił jakąś postać nagą. Ona miała personifikować ideę dzieł Grottgera.

Zdawało się, że nagroda konkursowa wystarczy już dla zaspokojenia sławy nowego artysty rzeźbiarza. Tymczasem rozeszła się wieść, że, chociaż nie ma jeszcze odpowiedniego funduszu nawet na ten prymitywny projekt, to jednak koledzy zawarli umowę z Szymanowskim o wykonanie pomnika Grottgera, spodziewając się pokryć brakującą resztę pieniędzy ze składek, gdy już pomnik stanie.

W Paryżu dzieło przychodziło do skutku i nareszcie pojawiło się w Krakowie. Całe lato stawiano fundamenta i tę ławkę z postumentem na plantacjach naprzeciw pałacu sztuki, w którym właśnie środkowa nyża przecznaczoną jest na biust. Jeden Grottger będzie się przypatrywał drugiemu Grottgerowi, a publiczność głowę sobie zaprzątnie pytaniem, dlaczego też jednego Grottgera nie ulokowano w innej części miasta.

Pomnik, ten przez Szymanowskiego wykonany, gotów jest zupełnie, zakryto mu tylko szmatą twarz na biuście i ową płaskorzeźbę aż do chwili poświęcenia i odsłonięcia całości. Miała nastąpić ta ceremonja wraz z oddaniem pomnika pod opiekę miasta w ręce prezydenta. Odroczono ją do wiosny roku przyszłego. Przyczyny opowiadają różne tego opóźnienia. Nikt z mieszkańców nie upatruje w tym postępku jakiejkolwiek straty dla miasta, budzi on tylko politowanie nad losem Grottgera, że sława jego takiego doczekała się uwieńczenia w stolicy sztuki polskiej.

Jak sobie autor pomnika lekceważył dzieło, które mu powierzono do wykonania, niech to posłuży za dowód, że biust Grottgera, chociaż

stoi na placu wolnym dookoła, ma z tyłu dziurę i przedstawia się, jak maska przeznaczona do nyży. Mieszkańcy pięknej ulicy Podwala, protestują przeciw pozostawieniu ślepej strony rzeźby w kształcie dziury, od ulicy, a przecież nie można też dziurą obrócić Grottgera do aleji plantacyjnej?

Komitet tedy ma w ciągu czasu do odroczonego na wiosnę odsłonięcia wymyślić coś, aby pomnik Grottgera doznał jakiegoś przeistoczenia, któreby go na śmieszność nie narażał. Publiczność też tymczasem oswoi się z banalnością i dyletantyzmem pomnika, i po odsłonięciu tego młodej sztuki dzieła nie będzie go krytykowała. Prezydent miasta przyjmie zresztą pomnik, jaki Pan Bóg dał, bo bez Jego woli nic się na świecie nie dzieje.

Huculszczyzna.

Gazdy wschodniego Beskidu doczekali się wspaniałej, wyczerpującej monografji. Prof. Włodzimierz Szuchiewicz przysłużył się bardzo swemu społeczeństwu, przysłużył się i nam, wydając swą pracę nietylko w języku ruskim, ale i polskim.

Dwa tomy ukazały się w witrynie księgarskiej, — trzeci na ukończeniu.

Powagę i wagę rzeczy można pojąć dopiero po wyjawieniu pewnej, publicznej tajemnicy. Tam, u stóp Czarnohory, na nadprucianskich brzegach, rozgrywa się tragedja wielka i bolesna, wymiera cały szczep, schodzi z widowni świata wśród cudnej, rozmarzonej przyrody, rozkochanej w słońcu, zatopionej w melancholji limb, huculskiej cedry i w poszumie smereków.

Dopóki gościńce i trasy kolejowe nie przerżnęły uroczysk górskich i góral żył na łonie dzikiej przyrody, chodząc na zbój i wiodąc sielankę samotną, prawdziwe owidjuszowskie bukolikon, — rósł z fantazją pierwotną, malowniczą, zadziwiał zabłąkanego przybysza, — postac ze snu, z czarownej bajki. Karmiły go doboszowe skazki, historje o „rycerzu“, co na rozpłaszczonej dłoni podnosił skały i świerki z ziemi wyrywał, — karmiły go opowiadania o opryszkach i junackich wyprawach. Na orlą swobodę spadł ołów: ciężkie rygory prawne, sądy, trzebienie samowoli i rządów pięści lub ciupagi. Ostatni straceniec, Sztoła, poszedł pod nóż katowski gdzieś przed trzema ćwierciami wieku i na huculszczyźnie „pusto, cicho“ było — jak na ukraińskim stepie Malczewskiego. Nowa era nasiała nowe biedy.

Od góry do dołu wszystko się wywróciło i przewróciło, kamień spadał z kamienia, mech z mchu. Hucuł nosił w sobie zawdy złego: ospałość, brak odporności, zamiłowanie do rujnowania się z grandezzą przy okazjach, chrzcinach, weselach, praźnikach, wrodzone pieniactwo!...

Alkohol wżarł się w jego mózg i krew, w jego biedne, nędzne istnienie na suchych ugorach... Tu i owdzie łatwo spotkać tak zwanych „hodowańców“, — niegdyś dziedziców wolnych, — dziś niewolników. Żyd zobowiązał się „hodować“ gazdę aż do śmierci i dostarczać mu pewnej ilości wódki, — a za to notarjalnie wyłudził zapis całego gruntu!

Nieszczęsny Rusnak, — włóczęga na swej ziemi, — bierze topór, idzie rąbać drzewo do karczmy lub szuka chleba dla rodziny, jako najmita. Formalne, obrzydliwe trusty powstają między czarnymi pająkami, dla omotania beskidowego ludu. Litr mąki kosztuje w Kosowie 7 ct,, a w górach 25—30 ct., a znacznie drożej na borg.

Z tego kredytu wyrastają procesy, egzekucje, wyprowadzanie z stajni lub obórki ostatniej krowy. Najpiękniejsze łąki, połoniny, sianożęcie przeszły już w ręce lichwiarzy, — malowniczy Hucuł staje się żebrakiem pod własnym dachem, żebrakiem w pięknej dziobańce, kresaniu i keptarze... Czego nie dokona ich grabarska, rozkładowa gospodarka, — kończy ucisk podatkowy, przemysł fabryczny

i najgorsza ze wszystkich straszna zaraza... kiła. „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie...“ Lęgnie się i toczy te piękne, na słońcu uwędzone i w powiewie kryształowej przyrody skąpane ciała, wyciskając na nich piętno desperackiej zgnilizny fermentu fizycznego. Prawda, Huculi nie zasłaniają się parawanem moralności, miłostki uprawiają szeroko, lubaski mają u nich mir duży...

Rusnak, wzięty do wojska, powierza rodzinę, żonę w pierwszym rzędzie opiece młodego „towarzysza“ bez żadnych skrupułów i ociężań... Ale to ich nie wiedzie na dno przepaści... Epidemję zawlekają urlopnicy, robotnicy kolejowi, — a przedewszystkiem zawlekli ją żołnierze moskiewscy jeszcze przed 100 laty w czasie przemarszu na wojnę turecką...

Z okazji budowy kolei Stanisławów-Woronienka musiano wystawiać index osób zarażonych — a było ich około 50% mieszkańców na Dorze, Jamnie, Delatynie!... W czasie badań urzędowych z 1889 r. zauważono, że na 378 osób kiłowych, oglądanych przez lekarzy, 91 potrzebowało natychmiastowej pomocy!...

W ogóle wytwarzają się sytuacje, rwące serce. Koło żywopłotu, przy drodze, stoi dziewczynka o konopiastych, pięknie stalowanych włosach, zapatrzona w jasną dal. Płacze biedactwo rzewnie, — ruśniaczątko ogromnie poetyczne... Uchyla rąbku koszulki i z pod niej wyłaniają się nóżki owrzodzone, zropione, — kalectwo dojmujące. Za winy ojców!.. Rząd strasznie zaniedbał huculszczyznę i pod cywilizacyjnym i pod hygienicznym względem. Jedynie wędrowne ambulatorja i bezpłatne lekarstwa mogą złe ograniczyć i spełnić humanitarne posłannictwo. A miałby rząd austrjacki nawet specjalny tytuł do troskliwości, — bo Hucuł jest Tyrolczykiem wschodu, przysłowiowo przywiązanym do dynastji. Przecież znane są rzeczy, że nie mogąc się wyprocesować, idzie bodaj na piechotę do swego koronowanego „bat'ki“ i wraca niedopuszczony do stóp tronu, otrzymawszy z kancelarji nadwornej 5 zł., — częściej jeszcze odszupasowany!... Nie dziw, że na widok tylu nędz, tylu rozpaczy i łez, wydobywa się z piersi prof. Szuchiewicza bolesna apostrofa: „ten Hucuł, dla którego koń i strzelba były do niedawna nieodstępnymi towarzyszami, ten Hucuł, który dźwiękiem swej trembity, wita słońce wschodzące na połoninie i żegna nią towarzysza, złożonego do grobu, — stanie się rychło milczącą postacią“!...

Są to pierwotne duchy w całem tego słowa znaczeniu. Natura u nich sama i nic więcej. Nawet nogą jedną grzęzną w pogańszczyźnie, obchodząc w przysiółkach swoich tradycje zapleśniałe, gdzieś za zmierzchów dziejowych. Jedna wieś pracuje, druga fetuje się, — obchodzi jakiegoś Kucyka lub Rachmański Wełekdyń!.. (Piszący te słowa, sam to spostrzegł w okolicy Jamny). Kto im naniósł niekalendarzowe święta? Chyba dawne bogi leśne, padłe pod chrześciańską siekierą. Ich pierwotność przebija się w braku, a nawet odrazie do czystości. Włosów cały tydzień nie czeszą prawie, aż się zlepiają i dopiero na niedzielę trzeba je ługiem przecierać, celem doprowadzenia ich do ładu. Podłogi i ściany myją trzy razy do roku, gdzieniegdzie raz przed Wielkanocą! Do izby, w której w zimie żyją ludzie naspół z cielętami, jagniętami, kozami, wychodzi dym z pod kominka, ściele się po toku, wędzi na heban pułap i zaczadza płuca!... Za to szych, zewnętrzne świecidełka lubią do zbytku. Warto ich zobaczyć w cerkwi w czasie uroczystości kościelnej przed carskiemi wrotami! Kobiety w zapaskach, satenowych chustkach na głowie, koszulach ładnie haftowanych z wyszywkami, mołodyce ogromnie krasawe, rusnaki w czerwonych lub białych, obwisłych szarawarach, z kresaniem pod pachą i keptarem brunatnym, — gra kolorów, fizjognomij, jedna w drugą wybitnych, silnie zarysowanych!... Zdaje się, że hasło spłynie po czubach górskich i wszyscy niebawem runą na zbój, — prawdziwe wielkoludy!... Fantazja w nich jest, poezja w nich jest! Drzemie w tych ospalcach poczucie sztuki, motywów bizantyńskich — tak, jak na całej huculszczyźnie bizantynizm się odbił.

Kopalnią zasobnych wiadomości jest dzieło prof. Szuchiewicza. Nie kollekcjonarstwo oschłe, martwe, — ale nerw życiowy bije z każdej kartki... Rozmowy podsłuchane, całe djalogi, przekleństwa i zaklęcia obrazowo przeniesiono na papier. Jest to książka wyjątkowa i zupełnie osobliwa. Chwyta ona zamierające rysy całego szczepu, chwyta niemal głos ludzki, wdziera się w człowieka, — jakby chciała z niego ostatnie wybrać tchnienie. Utrwalono wszystko, co się utrwalić dało, z dziwnym pietyzmem i z jeszcze dziwniejszą benedyktyńską pracą. Gdyby dziś huculszczyzna przepadła, byłoby to dzieło *magna parens spiritualis*... na jej gru-

zach... Z niego ona wygląda cała, taką jaką jest, w objawach swoich etnograficznych,fizjograficznych, architektonicznych, zwyczajowych. Dość przytoczyć zawartość n. p. drugiego tomu: rodziny, wesela, śpiewy i tańce, muzyka, śmierć i pogrzeb, obrzędy cerkiewne, kosmogonja, demonologja. Liczne cynkotypy zdobią gęsto książkę, ułatwiając ogromnie zestawienie zdobnictwa huculskiego z polskiem i możność zbadania, czy zachodzi między niemi jakakolwiek filjacja.*) *Ernest Łuniński.*

*) W następnym numerze podamy ocenę tej samej książki, pióra p. Mokłowskiego, który uwzględnia właśnie sprawę huculskiego zdobnictwa, przeprowadzając paralelę między niem a zdobnictwem zakopiańskiem.

EMMA JELEŃSKA

17)

Z MIŁOŚCI.

Nie chciało jej się wracac do pustego domu, Ale i wesele dokoła, jasność nieba, blaski słońca na wodch, szczebiot rozśpiewanych ptaków — drażniły ją. Ona byta smutna, zmęczona, a tu w około wszystko aż kipiało życiem i nadzieją,

Weszła na schody i zadzwoniła. „Pan Lutek przyjechał" — rzekł Franciszek, zdejmując z niej okrycie.

Jakoż we drzwiach od salonu stał Lutek, z cygarem w ustach i z rękami w kieszeniach, i mówił tonem rozkapryszonego chłopca: „Gdzie ty, kuzynko, siedzisz całemi dniami? Przyjechałem od dwóch godzin — ciebie niema i niema. A ja czekam".

— „Ależ ja się wcale ciebie nie spodziewałam, Lutku! Miałeś do końca miesiąca w Korzewie pozostać. I dlaczego przyjechałeś?"

— „Miałem. Ale czyż ja mogę siedzieć tam sam jeden! jak zwierz w lesie! jak jaki pustelnik! Wytrzymać tam nie można. Mamy nie ma. nikogo niema, pusto w domu, ani słowa do kogo przemówić. Ten obrzydliwy Oniczko ciągle chce o interesach gadać, lezie z rachunkami, z regestrami, Bóg wie z czem. Oniczkowa przychodzi i o krowach opowiada jakieś awantury, żyda mi nawet wpuścił. Kazałem konie zaprządz i przyjechałem."

Szedł za Wandą przez salon, przez budoar, aż do sypialnego pokoju, gdzie przed lustrem zdejmowała kapelusz. I skarżył się: „Ja przecież siedzieć tam sam jeden nie mogę Rozpiję się, zwarjuję, zidjocieję w tym Korzewie."

Ona zwróciła się do niego: „No, dobrze, ale cóż będzie z interesami? Trzebaż w nie wejrzeć."

— „A, niech je licho weźmie!" — rzekł, wypuszczając kłąb dymu: „Niech tam Oniczko z Oniczkową ślęczą nad nimi. Ja ani myślę."

— „Mówisz jak dziecko. Przecież..."

— „Tu niema żadnego przecież. Jak nie mogę, tak nie mogę. Niech Oniczko rządzi tam wszystkiem, mnie tylko niech pieniądze daje. Po co ja mam słuchać tych wszystkich jego głupich rachunków?"

— „Jak się ma majątek, to trzeba wiedzieć, co w nim jest, co przynosi, co daje. Dobrze, że Oniczko uczciwy, ależ on nad grobem stoi. Umrze lada dzień — i nic nie będziesz..."

— „Nie będzie Oniczko, to będzie drugi. A ja tam wytrzymać bez mamy nie mogę." Usiadł i głowę położył na stole. „Ja taki biedny, taki nieszczęśliwy", zaczął, prawie ze łzami w głosie — „a kuzynka, zamiast mnie pożałować, kłóci się ze mną. Kuzynka chce, żebym ja siedział w tym ohydnym Korzewie i zajmował się interesami, a ja ich cierpieć nie mogę! Ja tu przyjechałem, myśląc, że znajdę u kuzynki jakąś pociechę, a kuzynka nawet nie przywitała się ze mną."

Wandzie żal go się zrobiło. Usiadła przy nim. „Niechże Lutek się nie gniewa. Ja cię bardzo żałuję! Ale — trzeba być mężczyzną, nie można tak się poddawać smutkowi. Teraz, gdy biednej cioci niema, to sam musisz myśleć o sobie, i dawać sobie radę, i zajmować się swojemi interesami. Bo któż cię w tem zastąpi?“

On, z głową położoną na stole, siedział nieruchomy z przymkniętemi oczami. Gdy umilkła, wziął jej rękę i szepnął: „Mów jeszcze, kuzyneczko! Mów!“

Ona się uśmiechnęła. Znała już jego dziwaczne, rozpieszczone maniery, nie skrępowane nigdy żadnymi względami przyzwoitości lub konwenansu. Znała i charakter jego, tak nawskróś egoistyczny, że wszelkie inne uczucia tylko przez pryzmat egoizmu w nim się odbijały. Wiedziała, że jemu świat cały wraz ze wszystkimi na nim ludźmi, wydaje się stworzonym jedynie dla jego wygody i przyjemności, biorącym od niego początek swój i rację bytu, nie mającym poza nim żadnego powodu istnienia. Wiedziała, że wszelkie rady, wszelkie stawianie wzorów i ideałów życiowych, wszelkie pobudzanie do szerszego czynu, do obowiązków społecznych — jest rzucaniem grochu o ścianę. I że, gdy prosił: mów jeszcze! to dlatego, że lubił dźwięk jej głosu, i że miło mu było czuć przy sobie przyjazną duszę. Wiedziała o tem wszystkiem, a jednak lubiła go. Było coś tak szczerego, tak naiwnego, w jego duszy, sobą przejętej i w sobie rozkochanej, był jakiś dziwny wdzięk w jego miękkiej, pieszczotliwej, niewieściej naturze. Przytem, od owego spotkania przed siedmiu laty, rozwinął się ogromnie i umysłowo i fizycznie. Ładny był dzisiaj, zdrów, a przytem taki subtelny i wykwintny, ze swą świeżą, białą cerą, z wypukłemi oczami krótkowidza, które przymrużał wciąż, ze swym tak starannie utrzymywanym wąsikiem nad pełnemi wargami. A taki był zawsze przytem strojny, tak nieposzlakowanie modny, tak dokładnie wymyty i wyczyszczony, wedle najnowszych przepisów hygieny, którą studjował z zamiłowaniem. Tak zawsze pachniało od niego najlepszemi perfumami! Miał już skończonych lat trzydzieści, ale wyglądał młodziej, może dzięki tej niezmiernej o siebie dbałości, co nim w każdej czynności kierowała.

Wanda uśmiechnęła się do niego i rzekła: „A wiesz, Lutku, coby było najlepszem. Oto, znaleźć sobie co prędzej dobrą żonę, któraby za ciebie myślała, za ciebie wszystko robiła i nawet z Oniczką rozprawiała — i któraby cię rozpieszczała tak, jak to mama robiła. Prawda? czy to nie dobry projekt?“

On westchnął. „Dobry. Ale zkądże takiej dostać? Wszytkie panny, jak tylko wyjdą za mąż, to chcą zaraz jeździć do Nizzy, chcą stroić się, chcą flirtować, a o tym biednym mężu ani wiedzą! Co mnie po takiej żonie? Niech kuzynka nie zaprzecza — ja dobrze znam kobiety. Każda jest egoistka.“

Wanda zaśmiała się. „A mężczyźni to nie?“

— „Są i wśród mężczyzn egoiści. Ale to zupełnie co innego, to nie tak razi. Egoizm u męczczyzn nie taki wstrętny“. Przecież kuzyncе można wszystko powiedzieć — i począł opowiadanie o jakiejś przygodzie miłosnej z czasów pobytu swego w Paryżu. „No, kuzyneczko, czy to nie egoizm? czyby mężczyzna tak postąpił?“ — zakończył.

Tu stanął przed nią, jakby czekając odpowiedzi. Ale ona zdobyć się na nią nie mogła, tylko uśmiechała się. Jakąż mogła odpowiedź dać temu człowiekowi, którego pojęcia tak były splątane, jak motek jedwabiu? Gdyby spróbowała mówić, nie rozumiałby jej wcale.

Zresztą, jemu już nie chodziło o dowiedzenie czegokolwiek. Myśl jego odbiegła już od przedmiotu. Porwało go wspomnienie Linetki. Znowu zapalił cygaro i... chodząc po pokoju, z rękami w kieszeniach, zaczął opowiadać. Jaka ona była śliczna! Jak umiała mu dogodzić! Nie, to tylko francuska, i to paryżanka, może posiadać ten spryt, tę giętkość, ten dowcip, ten temperament, a przytem ten zdrowy rozsądek. I taka zgrabna! Co to była za figurka! Filigranowa — ale jakaż kształtna! Oczy miała czarne, długie, o pysznych rzęsach, zakręconych do góry, jakby fryzowanych, a włosy ciemne, ciemne — ciemne — a w słońcu złoto-miedziane. Ach, te włosy!

Mówił długo. A myśli Wandy odbiegały czasem daleko, i znowu wracały do miłosnej historji Lutka z Linetką. „Dobrze im być musiało!“ mówiła sobie. I dziwny smutek ją ogarniał. Czemuż dla niej wszystko już, wszystko na tym świecie było skończone? Tak prędko! tak wcześnie!

Zakipiał w niej gniew. Podniósł się bunt. O, zrzucić te więzy, zdeptać tę zaprzysiężoną

cnotę! i jeszcze kochać — i jeszcze być kochaną! Ach, jeszcze, jeszcze! Choćby raz tylko!

— „Czemu ty nic nie mówisz, kuzyneczko?“ spytał nagle Lutek, stając przed nią. „Nudzi ciebie moja historja?“

— „Ani trochę — słuchałam najuważniej.“

— „Bo to nieprzyjemnie jest mówić, kiedy nikt nie odpowiada. Ja lubię czuć, że mnie słuchają. A co, kuzyneczko, podobała ci się moja Linetka?“

— „Owszem, tylko...“ Myśli jej wróciły do normalnego stanu. „Powtórzę od czegośmy zaczęli. Ponieważ z Linetką skończone, a bez jakiegoś swojego, bliskiego serca obejść się nie możesz — wszak prawda? nie możesz? więc trzeba pomyśleć o ożenieniu.“

— „Kiedy mi się nie chce. Mój Boże, żona, dzieci, mamki, niańki, guwernantki, teściowe, szwagrowie! O, za nic w świecie! Na co mi to wszystko?“

— „A jednak — samotności nie znosisz. Najlepszy dowód — przyjazd dzisiejszy. Tylko żona i rodzina mogą ci życie wypełnić. Przecie tak sam jeden żyć nie chcesz, nie masz nikogo...“

— „Jakto, nie mam? A ty, kuzyneczko?“

— „Ja!“ I poczuła Wanda, że się czerwieni.

Ale on tego nie zauważył i zaczął tłumaczyć. „Naturalnie. Ja teraz od śmierci mamy, uważam ciebie, kuzyneczko, za najbliższą sobie. Mam prawo, bo jesteś żoną Karola, mojego jedynego ciotecznego brata. I przyznam się, że z nikim nie jest mi tak dobrze. Lubię na ciebie patrzeć, kuzyneczko, bo masz taką dobrą, ładną twarz i takie ruchy estetyczne — i takież ręce! No, takich rąk — to nikt w świecie nie ma. Proszę mi pokazać.“ Wziął obie jej ręce, położył przed sobą na stole. „Prześliczne! te palce długie, cienkie a mocne — to nie palce do zabawki! nie! mogą i ranę zadać, naprzykład oczy wydrapać, ale potrafią też ranę obandażować. To nie „alabastrowe“ paluszki, ideał romansopisarzy. To kość i krew i nerwy. To żyje. Silne — a na samym koniuszku jest punkt słaby. Dość spojrzeć na ten okrągły, miękki różowy wierzchołek, żeby wiedzieć, jak to wszystko wyczuwać umie. To siedlisko czułości. Ach, jakie to subtelne! A dłoń — to nie banalna, wycackana, na *crême Simon* budowana dłoń. To żywe, ciepłe, czujące — to czara, z której pić można — to kwiat... Śliczne ręce!“ Odszedł w głąb pokoju i stanął przy oknie. „Ty, kuzyneczko, masz dwie rzeczy nadzwyczajne“ — rzekł po chwili: „ręce i uśmiech! Pamiętasz? Gdyśmy się po raz pierwszy spotkali — tu, na dworcu kolejowym, odrazu to odkryłem — i powiedziałem, że masz dwie twarze. Ale teraz zaszła zmiana w tym uśmiechu, nie taki jak był dawniej. Jest w nim teraz coś... coś, jakby załzawionego, coś elegijnego. Czy może często płaczesz?“

— „Ja! Nigdy! Skądże taka myśl!“

— „Tak się oburzyłaś, jak gdyby to było co złego. Mój Boże, kobiety takie skłonne do łez. Linetka o byle co płakała. Wiedziała, szelma, że jej z tem do twarzy. W każdym razie, uśmiech masz teraz smętny, a dawniej był wesoły. Ale kto wie, może teraz jesteś bardziej jeszcze interesująca — więcej *modern-style*. Taka jakaś powiewna, tęskna, trochę tajemnicza. Co do mnie, ja tych bardzo wesołych kobiet nie lubię, najczęściej sobą tylko zajęte. A ty, kuzyneczko, właśnie, że umiesz o innych myśleć i umiesz słuchać i odczuwać. To też, czy chcesz, czy nie chcesz, Elegjo, ja uważam cię teraz za najbliższą dla siebie osobę.“ Usiadł przy niej na sofce i wziął jej ręce. „Czy chcesz, czy nie chcesz“, powtórzył, zaglądając jej w oczy. „No, powiedz... Chcesz, chcesz!“ — dodał z uśmiechem, „nieprawdaż, chcesz? A na znak zgody, proszę mi pokazać swój uśmiech. Ot, dobrze — teraz więc mam zupełne prawo do ciebie, kuzynko, czy tak?“

I na stwierdzenie tego prawa, dalej mówił i mówił. Ze złożonemi na kolanach rękami, wsunięta w głąb kanapki, Wanda słuchała.

Lutek stanowczo do Korzewa nie chciał wracać. Nie pomogły bardzo poważne przekonania Karola, ani rady Wandy. „Zanudzę się tam na śmierć“, — mówił — „wszystko wolę, niż siedzieć zamurowany w tym obrzydłym Korzewie.“ Pozostał więc i zaczął się roztasowywać na dobre w mieszkaniu, najętem zeszłej jesieni dla jego matki, po przeciwległej stronie wschodów. „Będziemy sąsiadowali“, mówił do Wandy, „będziemy blizko siebie, a przynajmniej nie będę się czuł samotnym na świecie.“

Mieszkanie to było malutkie, ale ze ślicznym widokiem na rzekę i góry, z balkonem, na którym teraz znalazło się mnóstwo kwiatów — wesołe i słoneczne. A wkrótce zamieniło się pod jego gustownym zarządem w istne cacko — „*une*

garçonnière modêle“ jak mówił. W tem wytwornem otoczeniu on rozpoczął życie najzupełniej bezczynne, ale które zdawało się całkiem go zadawalniać. Tak umiał rzeczą pokierować, że wstrętnymi dla niego interesami zajął się Karol, i pomimo każdorazowego protestu, odbywał narady z Oniczką, pisał potrzebne papiery, obmyślał wszystko, co było do obmyślenia, prowadził rachunki, i już tylko gotowe dochody wręczał Lutkowi. Gospodarstwem zaś jego, żywieniem, obsługiwaniem, zajęła się Wanda. Ona mu wysyłała ranne śniadanie na starannie nakrytej tacce, ona pamiętała o ulubionych jego potrawach przy dysponowaniu obiadu, ona przypominała, żeby o południu mleko z sucharkami było mu dostarczone, i żeby wyborowe owoce zawsze leżały na jego stole. Ona się troszczyła o czystość jego okien, o trzepanie dywanów, o świeże kwiaty, o bieliznę.

Lutek sam nie robił nic. Kąpał się i ubierał, czytał gazety, bujał się w biegunowem krześle, palił cygara — i tak schodził mu ranek cały. Na obiad przychodził do Karolostwa, i resztę dnia już z niemi, a raczej z nią spędzał, to na gawędce, to czasem na głośnem czytaniu, to na wygrywaniu na cztery ręce różnych *potpourris* z oper, to wreszcie, gdy nastała pogoda, na dalekich przechadzkach.

I było mu dobrze. A co dziwniejsza, to, że i innym było z nim dobrze. Karol zrzędził wprawdzie na jego niedołęztwo, ale ulegał jego sympatycznemu urokowi i mimowoli odczuwał tę wesołość, którą jego obecność w dom wprowadziła. Teraz obiady i wieczory nie były milczące jak dawniej, gdy we dwoje z Wandą zasiadali do stołu. Wszelkie sam na sam było im oddawna ciężkiem. Mówili do siebie o rzeczach postronnych, lub o codziennych spraweczkach, ale każde z nich czuło poza temi słowami całe światy inne, do których broniło drugiemu wstępu. Obcowali z sobą jakby siedzący na progach swych domostw sąsiedzi, nie dając sobie wzajemnie wejść do wnętrza.

Teraz, przy Lutku, uczucie to znikło. Mówiono o wszystkiem — a najwięcej mówił on. Na sam na sam nie było czasu. On mówił naturalnie o sobie, nawet wtedy, gdy pozornie poruszał najodleglejsze tematy. Ale jego egoizm był tak olbrzymi, taki wytrwały i taki silny, że wszystkiemi dokoła zawładnąć musiał. Jego miłość siebie była tak wielka i szczera, że panowała nad umysłami, które go otaczały, i te poddać się jej musiały i powoli przejąć się nią również. I działo się to, co się zwykle dzieje: brał nad wszystkiem górę najsilniejszy egoizm i innych do służenia sobie zmuszał.

A działo się to w sposób tak prosty, że nawet żadnego protestu nie mogło wywołać.

(C. d. n.).

22)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

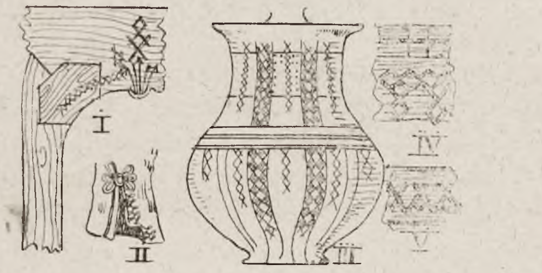
STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Wybitne podobieństwo powyższych motywów przedhistorycznych i prawie współczesnych na ziemi naszej uwalnia mnie od dalszych słownych wywodów.

Zresztą do dziś na ruskiem Podolu i na Podlasiu sztuka ludowa domowa, tak czerwono, jak i białoruska nie wyszła jeszcze zupełnie poza zdobnictwo w tkactwie i wyszywaniu zamknięte.

U górali zakopiańskich natomiast „myrwy“ i „recice“ (rzeszoto) przenoszą się z wyszywań na drzewo. Szczególnie ciekawym motywem jest

„myrwa, mierzwa“, które to miano spotykaliśmy w klanie wyrazów namiotowych“. Zjawia się on na wyszywkach huculskich, na wazie cypryjskiej, na nogawicach odzienia góralskiego w Zakopanem i na zdobnictwie w drzewie dokonanem.



WIZERUNEK 14.
1. Myrwa cięta w drzewie (Zakopane); 2. Doł nogawicy portek z myrwą (Zakopane); 3. Myrwa z wazy cypryjskiej; 4. Myrwa na wyszywce huculskiej.

Na zakopiańskich góralach znać jednak starszą kulturę osiadłego dawniej ludu. Osiadłe życie odcisnęło już swoją pieczęć, wyżłobioną przez otaczającą przyrodę i przez historję ostatnich kilkuset lat kultury polsko-europejskiej — na sztuce górali Podhala. — Motywy zwierzęce i pierwiastki roślinne łąk i lasów, równoważą się już prawie z tem, co „dawne“, stepowe życie w plecionce i wyszywce pozostawiło.

Zjawia się gęsto „leluja dziewięciornik“, kłoski i t. d. i obierają sobą drzewo, jako wątek w sprzęcie i budownictwie.

I oto dzieje się rzecz przyrodnicza, ale niemniej dziwna i ciekawa. Kwiaty te i zioła, wycinane na drzewie, są tam stylizowane stale wedle techniki wyszywkowej.

Na rycinie załączonej zestawiłem wyszywki o motywach ludowych ze zbioru p. Udzieli z pierwiastkami roślinnymi, ciętymi w drzewie według „zdobnictwa“ Dr. Matlakowskiego. Motyw (6-ty) gałązki w podobnej linji i charakterze liści znalazłem hen daleko na północy, na słowiańskiem niegdyś Pomorzu wyrznięty na zapleckach stołka.

Wyszywkowe stylizowanie roślin stanowi więc podstawę odrębności stylowej sztuki Podhala.

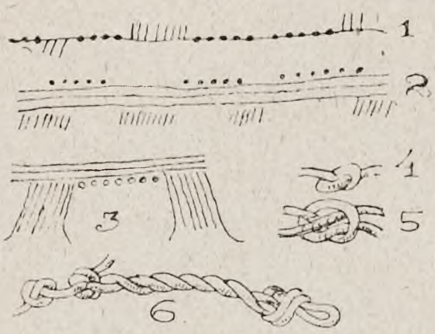
Dziwnie podobne tło życia gospodarczego ujednostajnia właściwości cywilizacji. — Odrębną też naprzykład cechą kultury zaczepiającej o wędrowne tradycje jest pismo „wiciowo-węzłowe“.



WIZERUNEK 15.
1. 2. Zdobienie na drzewie (Podhale — Matlakowski); 3. 4. 6. Motywy wyszywanek na chustach ze zbioru Udzieli; 5. Zaplecek ze stołka na Pomorzu. U spodu jego gałązka z liściem odpowiadająca wyszywce 6. (Lübke. Volkstümliche Bauweise in Ostdeutschland).

Ślady istnienia tego pisma wiązanego we węzełki na wiciach odnajdziemy na napisie z Nillen, Comai i w Anglji z Pembrokshire, wyrytym na kamieniu w formie długiej nici nawęźlonej (Winkelmann; Geschichte der Angelsachsen). — Podobne zjawisko zupełnie niezależnie poczęte, znajdziemy u starych Amerykanów. „Inkowie w Mexyku mieli sznurki rozmaitej barwy i rozmaicie powiązane (quipos), służyły one do zapisywania statystycznych danych, prowadzenia list cywilnych i notowania faktów historycznych, każdy rodzaj tych sznurków posiadał szczególnych uczonych, celem tłómaczenia treści tam zawartej“ (Krzywicki „Ludy“ str. 207). — Również naród o tak wybitnej stepowej koczowniczej kulturze, jakim są cygani, używali do niedawna pisma wiciowego, jeśli wierzyć można wiadomościom w tej mierze udzielonym przez p. Schulenburga (Ethnogr. Zeit. XXIX. str. 493). „Jeszcze około roku 1842 ...cyganie węzły na wiciach wiązali i w ten sposób porozumiewali się ze sobą podczas wędrówek koczowniczych“. Również i w starożytnej Grecji węzeł miał symboliczne znaczenie świętego znaku. „Podwójnie związany węzeł zwał się nodus Herculis i służył jako węzeł guślarski.“

Pan Schulenburg podaje również ciekawe guzy o rozmaitem znaczeniu, jakie do dziś u młynarzy badeńskich na wsiach są w używaniu (Wiz. 16—4).



WIZERUNEK 16.
1. Pismo wiciowo-węzłowe irlandzkie; 2. 3. To samo z urn słowiańskich; 4. 5. 6. Znaki uwęźlone młynarzy niemieckich.

Pismo wiciowo-węzłowe na wyspach brytyjskich naprowadziło naszego prof. Józefa Łepkowskiego na myśl, że niektóre znaki zdobnicze na urnach słowiańskich, są również niczem innem tylko pismem wiciowo-węzłowem. Rysunek załączony pod wiz. 13. — 1, 2, 3, wyraża owo trafne przypuszczenie. Jest to wzorzec wzięty z urny wykopanej pod Dobieszewkiem w Poznańskiem, a znajdującej sfę obecnie w zbiorach Akademji Umiejętności w Krakowie (Ethnograph. Zeit. XVII. str. 116).

Również na Litwie liczbę dni umówionych znaczono sobie karbami na drzewie lub w ę z ł a m i na s z n u r z e i p a s i e“. (Brückner, Starożytna Litwa — Bibl. warszawska. 1897).

W Polsce dochowała się pamięć pisma węzłowego w zwrocie „rozesłać wici“, oznaczającem wezwanie do pospolitego ruszenia. Z „wici“ wiąże p. prof. Aleksander Brückner wyrazy „vicyądz, vicięztwo, (pruskie) „witing“. Vethenici, witnicy, witezie, to są ci, którzy (czes) w i e t e w, plemię, mają na podstawie rozesłanych w i c i powołać i sami umieją treść z u m ó w i o n y c h i r y t m i c z n i e n a w i ą z a n y c h w ę z e ł k ó w o d c z y t a ć, a w danym razie zebrane na „wiec“ plemię, na wroga poprowadzić. (Brückner: O Piaście.) — Umiejętność rozpoznawania, ze sposobu, w jaki są węzełki zawiązywane treści posłannictwa, była znakiem wyższości i uczoności, tajemnicą najwyżej stojącej grupy w plemieniu, kapłanów, wieszczów i wodzów. Odbija się to w gałęzi wyrazów klanu namiotowego, będącej treścią swoją przyczynkiem jedynie do twierdzeń prof. Brücknera. — (Starosłow.) *Wit, wity, wija, wicia, wietstwo, wetyt, wieszczat* — (pol.) *wieszcz*, (czes.) *witi, wiszonti, wietew* plemie, — (pol.) *wić, wijać*, — (małoros.) *wyty, wijun*, (minog.) — *wój*, warstwa płotu, (stąd splatanie, splecenie walczących ludzi, *wojna*, biorący udział w wojnie *wojowie)*, — (sanskryt.) *wajami*, plecie, wiąże tkaninę, — (litew.) *weju, wity*, — (łotew.) *viju, vit*, (łacin.) *viere* splatać, *vitis* winogradowa łoza, — (grec.) (F) *eitera*, — (niem.) *winden*, — (gotyc.) *gawida* łączę — (star. gór. niem.) *witu* — (litew.) *winioju*. — *Wić* rozesłać, *wić widzieć* i jednocześnie wiedzieć jaką *wieść* zawiera i tę *wieść wiecowi, (wietu* litewskie miejsce zebrań) oznajmić, ta cała „*wiedza*“, „*wieszcza*“ i „*wodę wodza*“ cechująca, to są zjawiska ż y c i o w o w p r z e s z ł o ś c i, a więc i b r z m i e n i o w o się wiążące. — *Wid* — (starosłow.), *wid, widaty* — (czes.) *widim wideti* — (pol.) *widzieć, wiedzieć, wic, wiec, wieść*, (prowadzić) *wieszcz, woda, wódz*, — (star. słow.) *wiedaty* — (ros.) *wied'* — (czes.) *wede* — (sanskryt.) *vetu wiweda*, znachodzić, *weda widma* poznanie (księgi *Wedy*). — (litew.) *weidas, weizdmi, weizdeti* (*wajdelota* — *wieszcz* i kapłan), — *pawidzio* nienawidzę — (łać.) *invidio, visti* — (prus.) *weisei* — (niem.) *weise* mądry — (łać.) *videre widzieć* — (franc.) *voir* — grec.) *(F)idein* widzieć, homerowskie *(F) ida* znam, (islandzkie) *vita* — (gotyckie) *witam* widzieć (nasze *witać*, powitać) — (niem.) *weiss* znam — (star. gór. niem.) *wizzan* — (armen.) *gitel* (g t 1 d), *egit* znalazł — (greckie) *(F)istory, (F)idea* opowieść, napis. — Stąd ten, który ma wici prawo do wojen rozesłać to „*witiaz*“ — (serb.) *witez*, (czes.) *witeź* — (pol.) *wicyoszcza* — (węgier.) *witeź* — (runiczno-germań.) *wiking* — (litew.) *witis* — (prus.) *waeting witing* — (gór. niem.) *withing* — (star. niem. środ.) *wikingr* — (anglo sakson.) *wiccing*. — Staropolski zwrot „*kręcić wici*“ („Kręcisz wici Jezuit“), oznaczający plecenie niedorzeczności i kłamstw lub bajek odnieść należy również do przeddrzewnej, stepowej epoki w dziejach kultury naszej.

Tak więc zebrałem za pomocą powyższej metody, dość jak sądzę dowodów, na stepowy początek cywilizacji naszej we współce z innymi Indo-Aryjczykami poczętej. — Odrzucić też stanowczo należy „najnowszą“ hypotezę Wilsera, który chce szukać początku Arjów w g ó r z y s t e j S k a n d y n a w j i. Również nieprawdopodobnem jest twierdzenie p. Karola Penki, który kolebkę Arjów, zamiast do stepowej krainy, odnosi do b ł o t i b a g i e n pomorskich, nad morzem Bał-

tyckiem, nastrzępionych z rzadka błotem. Ślady wybitne stopowej kultury, której mianownikiem jest „namiot“, jego układ i kształt, tkanina rozmaicie plątana, tudzież zdobnictwo przez nas rozważone i określone, nie pozwala szukać początku Arjów w krajach nic wspólnego ze stepem nie mających. Trzeba więc przyjąć za uczonymi Lathamem, Benfeyem, Geigerem, Kunem, a zwłaszcza Schraderem, że stepy na rozgraniczu między Azją i Europą, dotykające od strony europejskiej Uralu, Kaukazu i morza Kaspijskiego, były ojczyzną Arjów.

Małą wskazówką ku temu jest wspólność brzmieniowa „woda“, wódz w wyrazie „wojewoda“, woda wojów i wyraz woda (niem.) *wasser* i *wisser* (znający drogę, rzecz). Dawałoby to do zrozumienia, że przejście wód i rzek należało do rzeczy trudnych, tylko najmądrzejszym w plemieniu powierzanych.

Słowiańskie nazwy rzek, począwszy od stepów podkaukazkich na rozgraniczu Azji i Europy dziwnie w „wodzie“ swoje odbicie znajdują. Pierwsza woda, jest „Wielga woda“ Wołga. Następnie idą (Wo.) Don i dopływ jego (Wo.) Doniec. Woda z progami (Wo.) Dnipr (ohy). Strumień wodny (Wo.) Dnistr (um), dalej (Wo.) Dunaj i (Wo) Dunajec. Do nazw tych nawiązać należy cześć dla wody, pewnie przedtem na stepie nieznana. Wspomina o niej Nestor, jako o właściwości dawnych Słowian, istnieje ona u Litwinów, Bohdanowicz znajduje ją u Białorusinów, którzy czczą religijnie „jeziora, kładzieże i sistocznicy“. Z czcią powyższą wiążą się może nazwy bogów, jak Wotem u germanów. Plemię „Wandalów“ (lit. Wada woda), Danów należy też związać z tą ogólną nazwą słodkiej wody. U Greków Danae córka orgiwskiego króla Akrisiosa, została zapłodniona deszczem przez Zeusa.

Według podania italskiego, Danae wyszła za Pilumnusa i urodziła mu Daunusa. Tak symbol wody deszczowej, zapładniającej spragnioną dżdżu ziemię, odbija się w słowiańskich nazwach rzeki i wody. Król Argolidy Danaos ma znowu 50 córek, Danaid i uczy wraz z niemi ludność wyszukiwać źródła i kopać studnie. Jedna z nich Amymnona za uścisk miłosny se strony Posejdona otrzymuje w darze nigdy nie wysychające źródło w okolicy Lerne. U nas w naszej narodowej baśni dziewica Wanda (woda), ratuje kraj, skacząc (wlewając się) do Wisły. Z zestawienia nazw i mytów wynika, że świętość wody i rozumienie się na wodzie, to rzecz wyrosła na tle europejskich warunków życia. Pochody stepowców przez liczne bagna, rzeki ogromne i jeziora, dawały w „rodach stepowych aryjskich“ większe znaczenie „wodzom,wodom, Dannusom, Danaosom i t. d. — Odbija ono jednak w sobie doniosłą zmianę stosunków przyrodniczych, jaka zaszła po opuszczeniu solnych stepów i wejściu w kraj mokry, wilgotny, leśny i dżdżysty, pełen rzek, bagien i jezior, jakim była Europa dawnymi czasy. Rozbiór tej przemiany będzie przedmiotem badań następującego rozdziału.

(C. d. n.)

Zeus i Möllendorf uważają, że Skytowie-Skotarze jako krewni Sarmatów należą do plemienia Irańskiego.

BIUROKRACJA.

Józef Olszewski: Biurokracja. Nakładem księgarni Polskiej. Lwów 1902.

Szkody, jakie biurokracja wyrządza społeczeństwu, są powszechnie znane; my Polacy odczuwamy na swej skórze może silniej od innych narodów, ciężką rękę urzędników, gdyż wchodzimy w skład trzech państw, w których biurokracja posiada wielkie znaczenie.

Jakkolwiek ujemny wpływ biurokracji jest powszechnie znany, jednakże mało jest prac poświęconych wyłącznie temu przedmiotowi, w naszej zaś literaturze dotychczas nie było ich zupełnie.

„Nie miałem zamiaru, mówi p. Olszewski,

traktować rzecz o biurokracji ze stanowiska ściśle naukowego, więc też praca moja nie ma podziału naukowego, ani nie wyczerpuje tematu we wszystkich, teorją nauki o administracji objętych kierunkach. Starałem się podnieść objawy najgłówniejsze i dla społecznego dobra najdonioślejsze.“

Uwaga ta służyć nam powinna za podstawę do oceny powyższej pracy.

Autor rozpoczyna swą książkę od rzutu oka na obecną sytuację społeczno-polityczną w państwach cywilizowanych; zaznacza zaostrzające się antagonizmy różnych grup ludzkich i wypowiada myśl, że trudno przypuścić, iżby potrzebne w obecnej chwili reformy, mogły się odbyć zupełnie pokojowo.

Zdaniem autora, parlamenty i władze rządowe podlegają w naszych czasach ciężkiej chorobie, która jest powodem bądź to ich bezczynności, bądź to błędów. Rozrost władzy państwowej dusi formalnie społeczeństwo, zwiększając coraz bardziej klasę biurokracji.

Po tych ogólnych uwagach przechodzi autor do bardzo krótkiego zarysu dziejów biurokracji.

Rozdział p. t. „Urząd w czasach najdawniejszych“ zajmuje się początkami władzy państwowej i napisany jest w sposób zbyt ogólnikowy; dalsze rozdziały, poświęcone dziejom biurokracji w Grecji, Rzymie, w wiekach średnich i w dziejach nowożytnych są znacznie lepiej opracowane.

Autor słusznie zaznacza wzrost prawdziwej biurokracji dopiero w epoce nowożytnej. Władza monarchiczna, zwiększająca się kosztem samorządu miast, prowincji i cechów, nadała biurokracji niebywałą siłę. Wprawdzie wielka rewolucja francuska z 1789 roku, obalając absolutyzm podcięła wpływ biurokracji, przeciwstawiając jej przedstawicieli narodu, jednakże warstwa urzędnicza, jakkolwiek osłabiona, umiała się przystosować do nowych warunków i niebawem wzmocniła się. Rządy Napoleona były epoką jej siły, a ustrój administracyjny Francji współczesnej i jeszcze dziś daje biurokracji wielką władzę. Wprawdzie rząd jest odpowiedzialny przed parlamentem, ale za czynności wszystkich urzędników odpowiadają tylko ministrowie, urzędnicy więc w starciach ze społeczeństwem mają wielką przewagę i tylko wówczas, kiedy zajdzie jakiś konflikt większych rozmiarów, którym się Izba cała zainteresuje, rząd centralny podlega odpowiedzialności. Mała tytko część interpelacji odnosi pożądany skutek.

Autor analizuje wpływ rozwoju przemysłu i nauk matematyczno-przyrodniczych na stanowisko biurokracji, zaznaczając słusznie, że czynniki te osłabiły jej znaczenie pod względem materjalnym i moralnym.

Pomimo tych porażek biurokracja i dziś jeszcze jest złowrogą potęgą.

Największą część książki autor poświęca analizie wad biurokracji, każdej z nich poświęca oddzielny rozdział, zgłębiając ją obszernie.

Dla braku miejsca nie możemy podążyć w krytyce tej za autorem, zaznaczymy tylko wytyczne jej punkty.

P. Olszewski zarzuca biurokracji przedewszystkiem szablon i rutynę, twierdząc słusznie, że jeżeli władze państwowe nie korzystają dziś w działalności swej z cennych wskazówek nauki, to dzieje się tak nie dlatego, żeby rady jej były niewykonalne, lecz z powodu ciasnoty poglądów świata urzędniczego.

Zbyt rozległa pisanina, jest jedną z głównych plag biurokracji; autor przytacza ciekawy przykład tej formalistyki, opartej na drobiazgowej korespondencji różnych władz w państwie.

Słusznie też wyśmiewa p. Olszewski ów słynny i tak dobrze znany ton urzędniczy.

W duszy urzędnika, przy spełnianiu jego obowiązków, odbywa się ciągła walka między biurokratą a obywatelem; państwo współczesne usiłuje z urzędników zrobić tylko maszyny, popozbawione uczuć społecznych. Obowiązek bezwzględnego posłuszeństwa przełożonym we wszystkiem, nawet drobiazgach, pozbawia urzędników samodzielności.

Tych ostatnich jest zbyt wielu, skutkiem tego państwo ponosi znaczne koszta na ich utrzymanie, wynagradza ich jednak, z wyjątkiem wielkich dygnitarzy, źle. Przeciętny urzędnik cierpi na brak środków do życia, jest więc wystawionym na liczne i częste pokusy.

Państwo z jednej strony chce stawiać urzędników na pewnego rodzaju piedestale; z drugiej jednak, nie dając im dostatecznych środków do życia, uzależnia ich i poniża.

Maszyna biurokratyczna jest zbyt zawiła, a przepisy regulujące ją zbyt liczne tak, że prze-

ciętnemu obywatelowi trudno się w tem wszystkiem orjentować, co oczywiście utrwalać i pogłębiać musi władzę biurokracji nad społeczeństwem.

Autor przytacza ciekawe liczby, dotyczące rozrostu biurokracji państwowej. A więc w Austrji w roku 1888 liczono 32660 urzędników, po latach zaś 12 — w 1900 już 65415. Według autora w roku 1888, urzędników państwowych i autonomicznych w Galicji było aż 43000 osób, opłacanych sumą 24000000 zł. Dalej znajdujemy wykazy liczby urzędników we Francji, Szwajcarji, Stanach Zjednoczonych. A. P. i Anglii.

Końcowe rozdziały swej ciekawej książki antor poświęca walce z biurokracją.

Doradza więc słusznie państwu otwarcie wszystkim dostępu do urzędów, bez względu na ich pochodzenie, stosunki i t. p., tylko na podstawie ich zdolności. Zaleca też zmianę w kształceniu urzędników, radząc kłaść większy nacisk, niż dotychczas na wiedzę praktyczną.

Społeczeństwo, zdaniem autora, winno się bronić przed zwiększaniem liczby urzędników; powinno też korzystać z przysługującego mu prawa interpelacji w zgromadzeniach prawodawczych, domagać się ścisłego przestrzegania praw konstytucyjnych.

Należy też rozbudzić w urzędnikach uczucia obywatelskie.

Przymiotami pracy p. Olszewskiego są: jasny i potoczysty wykład, szerszy punkt widzenia, gruntowna znajomość maszyny biurokratycznej, wreszcie duch obywatelski, którym cała książka jest owianą.

Wadą zaś powyższej książki jest zbyt ogólnikowe formułowanie poglądów autora; naprzykład autor mówi o coraz bardziej wzrastającej akcji państwa i występując przeciwko temu, nie stara się określić pożądanych dla siebie granic interwencji państwowej.

Autor nie uwzględnił też tego, że demokratyzacja społeczeństwa, jest najlepszą gwarancją przeciwko nadużyciom biurokracji.

Niekiedy wzrost biurokracji jest potrzebny, dość wspomnieć naprzykład konieczność ustanawiania i wzmagania personalu inspekcji fabrycznej; trzeba tylko zawsze dać społeczeństwu możność bronienia się przed nadużyciami biurokracji.

We Francji nie można zaskarżyć do sądu urzędnika państwowego za przekroczanie władzy bez wiedzy i zgody jego zwierzchności; w Anglji natomiast można, to też biurokracja angielska nie jest tak uciążliwą, jak francuska.

Chcąc rozwiązać jakiekolwiek zagadnienie społeczne, a więc i kwestję biurokracji, nie dość jest wpływać umoralniająco na poszczególne warstwy społeczne, lecz należy dla usunięcia zła przedewszystkiem stworzyć pewne instytucje, obowiązujące i mające moc wykonawczą.

Biurokrację zwalczać można przedewszystkiem przez poddanie jej władzy sądowej we wszystkich sprawach, dotyczących nadużyć i bez względu na zezwolenie naczelników administracji.

Praca p. Olszewskiego jest bezwarunkowo bardzo pożyteczną; życzyć też należy, aby znalazła jaknajliczniejszych czytelników, nie tylko w sferach zwykłej publiczności, ale i w kołach urzędniczych.

L. K.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Stanisław Kozłowski: *Marya Konopnicka*. Szkic krytyczny. Wydawnictwo: „Książki dla wszystkich“. Nakładem M. Arcta w Warszawie, str 103. — Praca ta posiada wyłącznie charakter rozbioru dzieł poetyckich Konopnickiej, autor bowiem, jak sam wyznaje, sądził, że zawcześnie jeszcze na syntetyczne odtworzenie duchowego oblicza jubilatki, którego obraz dzisiaj bardzo łatwo wypaść mógłby fałszywie. W myśl Carlyle'a, że „wszystko głębokie — jest śpiewem“, wsłuchuje się p. Kozłowski bacznie w muzykę autorki „Pana Balcera“ i przedewszystkiem stwierdza nieprzebraną rozmaitość jej tonów. Cała gama uczuć, wstrząsających nerwami i sercem nowożytnego człowieka, cały świat wrażeń, dostępnych duszy ludzkiej, znajduje poetyczny wyraz w liryce Konopnickiej. Dominującą atoli nutą jest w niej głęboki smutek — i przez ten „ból istnienia“ tak bardzo współczesny, jest właśnie Konopnicka nieodrodnem dzieckiem swego wieku. Poetkę ustrzegł jednak od monotonji niepospolity jej talent, umiejący z jednej struny wydobyć pełną gamę tonów, w pośród których najczęściej drga nuta kobiecej, łagodnej melancholji. Słusznie zauważa autor, że w rezygnacji Konopnickiej więcej zazwyczaj jest poezji, aniżeli w jej oburzeniu, w bolu, więcej wymowy, aniżeli w szumnych protestach... Jak każdy prawdziwy talent poetycki, odznacza się Konopnicka szczerością. Jest ona szczerą wszędzie tam, gdzie nie deklamuje, lecz śpiewa, nie uczy, lecz wzrusza, nie moralizuje, ale porywa. Niekiedy jednak przemawia ona takim tonem, że w czytelniku rodzi się wątpliwość, kto właściwie do niego się zwraca, poeta czy doktryner. A przecież talent jej w istocie swojej nie posiada, ani nie posiadał nic z doktrynerstwa. To był tylko wpływ haseł epoki, naleciałość z zewnątrz, z której poetka otrząsnęła się w dobie dojrzałości, kiedy jasno wreszcie zrozumiała, że w poezji najważniejszą kwestją jest poezja sama, że plastyki i melodji nie zastąpi teza, że nie o nagą ideę tu chodzi, lecz o jej doskonałe wcielenie. To też melodję pierwszych utworów Konopnickiej, miesza często zgrzyt mdłego pessymizmu i fałszywa nuta retoryki — dziś jednak bywa ona prosta, zawsze szczera i często natchniona.

Jako poetka ludu, którego duszę zna najlepiej może z naszych współczesnych pisarzy, jest Konopnicka także przedewszystkiem poetką smutku i niedoli. Cały cykl jej pieśni sielskich, drgających nutą pieśni gminnej, rozbrzmiewa jedną gromadną skargą, której akcenty są żywe i szczere. Prawda, że w jej poezji patrzymy na wieś i lud przez pryzmat temperamentu poetki i że nieco wesela, nadziei, zdrowia, urozmaiciłoby piosnki i pieśni, i wrażenie prawdy znakomicie by spotęgowało. Ale poetka miała prawo z wielostronnej lutni natury i życia dobyć ton dowolny, a miała jedynie obowiązek grać donośnie i czysto — i obowiązek ten spełniła niezrównanie... Na szczytach twórczości Konopnickiej, stawia jednak p. Kozłowski te utwory, w których poetka, zbywszy się swej księżycowej melancholji pod działaniem południowego słońca, przemawia barwnym, dyszącym zmysłowością językiem, rzeźbi i maluje — śpiewem, wykazując dowodnie, że jeżeli głęboko smutną być potrafi, umie także odczuć czar życia i wprowadzić samą siebie, oraz czytelnika w nastrój podnieconego entuzjazmu“. Zapala się tutaj autor i zgrabnie, a z prawdziwem szczęściem analizuje kolejno takie utwory, jak „W jarze“, „Co się stało?“ „Faun pijany“, „Mojżesz“, cykl „Italia“ i t. p., poczem przed przejściem do analizy „Pana Balcera“ rozprawia się surowo ze społecznymi i filozoficznymi wierszami Konopnickiej, zarzucając im „chłodną frazeologję, fałszywą nutę deklamacyjną, jawną nieraz tendencją, brak melodji, barw i kształtów, a nawet brak myśli oryginalnej“. Natomiast wysoko stawia takie utwory, jak n. p. fragment: „A choćbyście wrośli w ziemię siłami wszystkiemi“, w którym poetka wygłasza hasło podniosłego idealizmu z taką szczerością i siłą przekonania, że słowa ważkie, jakie z ust jej wychodzą, brzmią jak przestroga i groźne proroctwo“....

Z tego, cośmy dotąd streścili z pracy p. Kozłowskiego, poznać już mogliśmy wyraźnie stanowisko, przez niego względem Konopnickiej zajmowane. Jest to stanowisko wyłącznie tak zw. estetyczne. To stanowisko indywidualne ma w danym razie tę jedną słabą stronę, że właśnie w odniesieniu do Konopnickiej — jest za ciasne. Ono też sprawiło, że autor nie mógł znaleść właściwego klucza do odgadnięcia treści najistotniejszej tej kobiecej duszy poetyckiej, a praca jego wartościowa w szczegółach, jako ujęcie całej postaci i postawienie jej na tle epoki, małą tylko przedstawia wartość. Najbardziej wartościową jej częścią jest sumienna i wcale trafna analiza „Pana Balcera w Brazylii“. Wykazuje autor, że poemat ten posiada wszystkie znamiona eposu: żywe figury i imponujące obrazy, tworzone trybem nawskroś epickim. Łączy zasadnicze pierwiastki: człowiek, tło i forma, zlewają się tu w doskonałą, organiczną całość i tworzą epopeję w znaczeniu współczesnem „bez intryg niebianek i przewag bojowych atletów“. Najwięcej miejsca poświęca autor omówieniu naczelnej postaci samego pana Balcera od pierwszej chwili pojawienia się jego w poemacie, gdy na pokładzie okrętowym staje „na pewnych nogach i szeroko w kroku“. Potem charakteryzuje inne postacie, język poematu, „charakterystyczny, jędrny, dosadny, silny, jak pięść kowala, a tak obrazowy, że każdy pojedyńczy wyraz zda się wyginać w kształty i barwami mienić“. Zatrzymuje się wreszcie umiejętnie na kilku najpiękniejszych ustępach poematu, jak połów rekina, chrzest na okręcie i burza i t. p., wykazując ich pierwszorzędne zalety poetyckie. Wreszcie zwraca p. Kozłowski uwagę na jeden jeszcze czynnik artystyczny, ważny i nader cenny, bez

którego nie obywa się żaden wszechstronny talent literacki, czynnik dotychczas u Konopnickiei nie spotykany prawie, mianowicie na humor szczery i czuły, nieraz rozbrzmiewający, w tym poemacie, w którym poetka „logiką, jasnością prostotą i mocą twórczego słowa najbardziej zbliża się i przypomina tego, który jest niedoścignionym i nieporównanym w rodzimej poezji“.

A. C.

Zamorski. *Szkic krytyczny do programu przyszłości.* Jestto właściwie krytyka programu i działalności tak zwanej demokracji narodowej. Autor stwierdza, że narodowa demokracja coraz więcej traci zwolenników, gdyż program jej obejmuje tylko pracę kulturalno-narodową a nie określa środków do osiągnięcia niepodległości Ojczyzny i nie wspomina nic o formach polityczno-społecznych, które nadać pragnie wyzwolonemu narodowi. Drogi, któremi dążyć ma demokracja narodowa do odzyskania niepodległości Polski, są dla jej adherentów mgłą osłonięte i cel ten przedstawia się jej tak odległym, że dróg, ku niemu wiodących, nie widzi. Praca zaś, którą ma dziś przed sobą, jest pracą tylko przygotowawczą, realną wprawdzie, lecz nie polityczną w ścisłem znaczeniu. Program narodowej demokracji wiedzie na manowce, gdy rozmija się ze swoją rolą, jako program kulturalno-narodowej pracy i gdy usiłuje zająć stanowisko polityczne.

„Program polityczny musi wypływać z zasad jasno określonych i być ich konsekwencją logiczną; gdzie ich nie ma, gdzie bezwyznaniowość w pewnych granicach jest zasadą, tam rozstrzyganie zagadnień politycznych staje się wynikiem osobistych upodobań piszącego: maluczkie instynkta, sympatyjki albo niechęć, uogólniając się, zastępują zasady, tworzy się jednem słowem polityka przy kawie, polityka oportunistyczna“.

Morderstwo na rue Morgue i inne nowele. Edgara Allana Poego. Tłumaczył W. Szukiewicz. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie.

Edgar Allan Poe — magnum nomen — jedno z tych, które błyszczą na szczytach sztuki. Nazwisko, przed którem Europa dawno uchyliła czoła, a które u nas do niedawna jeszcze było nazwą nowego świata ducha i piękna, będącego dla nas „terra incognita“. Tem radośniej witamy obecnie książkę, która utwory Poego przyswaja literaturze polskiej. Wprawdzie już przed kilku laty utwory Poego pojawiały się sporadycznie na szpaltach pism perjodycznych, wprawdzie nawet biblioteka Mrówki wydała zbiór nowel tegoż pisarza, jednakże pierwsze, rozproszone i zapomniane, prawie niedostępne się stały dla rosnących codzień kół czytelnictwa, drugie zaś w tłumaczeniu zatraciły czar i subtelność oryginału.

Niniejszy przekład wyszedł z pod pióra znanego tłumacza p. W. Szukiewicza i odznacza się wielką starannością i sumiennością. Książka poprzedzona jest wstępem o życiu i twórczości Poego, napisanym przez znakomitego poetę francuskiego i wielbiciela amerykańskiego mistrza, przez Karola Baudelaira.

Indywidualność twórcza Poego świetna, błyszcząca, i wykwintna lubowała się w odzwierciadlaniu stanów duszy rzadkich, wyszukanych i niezwykłych. Natura nerwowa, przeczulona, oryginalna do ekscentryczności, o polocie fantazji prawdziwie czarodziejskim, przykuwa uwagę czytelnika, podbija ją, olśniewa i zachwyca. Poe był jednym z tych nielicznych i szczęśliwych twórców, którym dane było odkryć nowe piękno. Szukał go tam gdzie dusze subtelne, wiecznie czujne, wpatrzone w głąb siebie samych, odkrywają pokłady dziwne, tajemnicze, świat pełen jasnowidzeń i przenikliwości, pełen niespodzianek i nieoczekiwanych przeskoków.

Talent jego niespokojny wiecznem niezadowoleniem z życia, we wszystkiem czego dotknął, szukał stron nowych, oświetleń, odcieni, nuanceów. Stąd też pochodzi to ogromne zamiłowanie i to pieszczotliwe, rzekłbym, kreślenie „wyjątków“ życia ludzkiego. Najbardziej lubił jednem zaklęciem swego geniuszu utrwalać te stany w naturze i człowieku, które wyłaniają się z pomroku jakby trwożne, niepewne, pierzchliwe, to wszystko co ma w sobie duszę zmierzchu lub przedświtu, kiedy wszystko jest niewyraźne, ledwo pochwytne, płochliwe, zciśnione. Analizuje rzeczy prawie niedostrzegalne i nieuchwytne i w tem jest mistrzem pierwszorzędnym.

Pisarz nerwów — jak go nazywa Baudelaire — ze sztuką niedoścignioną potrafi w każdej chwili trzymać uwagę czytelnika w najwyższem naprężeniu środkami groteski i grozy i straszliwości Wszystko zda się u niego dziwnie wiotkie prześwietlone fosforescencją wewnętrznego tajemniczego blasku, ciche, przelęknione, stąpające na palcach, z palcem położonym na ustach; jakiś półsen tajemniczy wśród lasu, gdzie próchno świeci w dziupłach i tylko lot sowi czasem potrąci gałęzie; jakiś krajobraz zaklęty, pusty, osamotniony w świetle srebnego księżyca, gdzie snują się mary wśród mgieł leniwych i ospałych, wszystko zdaje się duchem, melancholją i trwogą dziwną, przenikającą. Oddech zapiera się w piersiach i krew przestaje krążyć w żyłach. A nad wszystkiem tem smutek tak bezbrzeżny i melancholja ogromna, nieutulona, zaziemska, która jest jednym z głównych rysów psychy Poego.

Pozatem umysł wyszkolony w analitycznej dyscyplinie, zapalony do matematyki za swoich lat młodych i wszelkiej spekulacji umysłowej, rzuca nam często zawikłania i problemy, które później rozwiązuje z niespodzianą i zdumiewającą świetnością. Tak „morderstwo na rue Morgue“, „Skradziony list“, „W sprawie p. Waldemara“ i „Niezrównane przygody Hansa Pfaala“ należą do tej drugiej części jego talentu twórczego, ukształtowanego pod wpływem specyficznej cechy geniuszu amerykańskiego... Inne jak „Zejście w Maelström“, „Legeia“, „Morella“, „Wiliam Wilson“ — znakomicie charakteryzują sferę jego twórczości nastrojowej. Zwłaszcza wspominamy o „Ligeii“ i „Morellli“. Trudno oprzeć się chęci zacytowania przepięknych słów jakie wypowiada o bohaterkach Poego, tak subtelny i odczuwający piękno pisarz jak Karol Baudelaire.

„Osoby Poego, a raczej jego osoba — człowiek o zaostrzonych władzach, o nerwach rozprzężonych, woli gorącej, a cierpliwej, rzucającej wyzwanie trudnościom, człowiek o spojrzeniu wytężonem ze sztywnością szpady ku przedmiotom, olbrzymiejącym w miarę, jak on na nie patrzy — to Poe sam. I wszystkie kobiety

jego, świetlane, chore, zamierające w dziwnych cierpieniach, mówiące głosem podobnym do muzyki — to także on sam, a przynajmniej ich pragnienia niezwyczajne, ich wiedza ich melancholja nieuleczalna, pochodzą z natury i duszy ich twórcy, zaś jego idealny typ kobiety odsłania się w przeróżnych portretach, rozsianych w nielicznych poezjach — portretach, które zbliża i zlewa w całość nieokreśloną, mimo to wyraźna nietyle natura autora, ile raczej jego sposób odczuwania piękności. Tam żyje bardziej może, niż gdzieindziej owa nieugaszona miłość-piękna, która stanowi jego tytuł główny, t. j. zsumowanie wszystkich jego tytułów do miłości i czci wszystkich poetów. *(L. S.)*

PISMA. *Pogląd na świat,* bardzo dobrze redagowany przez Wł. M. Kozłowskiego miesięcznik, poświęcony wiedzy, sztuce i filozofji życia, przynosi w ostatnim (październikowym) numerze artykuł, poświęcony Marji Konopnickiej na rok jej jubileuszowy, dalej skonfiskowaną rozprawkę pt. „Rozmiary społeczeństwa i ich regulowanie", omawiającą teorje neomaltuzjańskie, dokończenie pracy Józefa Trzebińskiego o teorji mutacyjnej de Vriesa, artykuł pt. „Etyka w stosunkach międzynarodowych i przyczynki do słownictwa filozoficznego, traktowane — co prawda — trochę pobieżnie i w sposób encyklopedyczny. Bardzo praktyczną nowość wprowadziła redakcja w formie korespondencji z czytelnikami. W rubryce tej udziela się chętnym, wszelkich wskazówek filozoficznych i tyczących się samokształcenia. W ten sposób przy pomocy fachowo a sumiennie opracowanych odpowiedzi, daje się czytelnikom możność obeznania się z kwestjami, które ich w danej chwili najwięcej obchodzą. Całość omawianego zeszytu uzupełnia ocena ostatnich wydawnictw filozoficznych i przegląd czasopism.

SZTUKA. *Wystawa litografji artystycznych,* urządzona ze zbiorów księgarni H. Altenberga w salach miejskiego muzeum przemysłowego, nastręczyła publiczności lwowskiej sposobność zapoznania się z dziełami kilku wybitniejszych przedstawicieli tego wytwornego działu sztuk graficznych. Litografja, niegdyś tak świetnie rozwijająca się we Francji, podupadła następnie prawie zupełnie, zabita przez akwafortę i grafikę mechaniczną. Dopiero z początkiem lat ośmdziesiątych odżyła tam ona na nowo i dziś znowu litografja francuska jest najświetniej ze wszystkich reprezentowaną i wywiera wpływ znaczny na ten dział twórczości artystycznej w innych krajach europejskich, a nawet w Ameryce. Na czele stoi tam Jules Chéret, o którym wspominałem niedawno z powodu wystawy plakatów artystycznych, a którego można uważać nietylko za „ojca plakatu francuskiego", ale za właściwego twórcę litografji barwnej, czyli chromolitografji. Obok niego stoi cały szereg artystów pierwszorzędnych, już to fachowców, już to tylko mimochodem czynnych na polu litografji. Założona w r. 1884 *Société des Artistes litographes français,* ogniskuje w sobie cały ten ruch artystyczny, wydając co roku „Tekę", podobną do tej, jaką zamierza niebawem wydać w Krakowie już się zawiązujące „Towarzystwo polskich artystów-grafików", którego „Teka" obejmie prócz drzeworytu (Dębicki) i akwaforty (Pankiewicz), przeważnie właśnie litografje (Stanisławski, Wyczółkowski i inni). W ten sposób nowe Towarzystwo obudzić się spodziewa i u nas zamiłowanie do sztuk graficznych w ogólności, a do akwaforty i litografji w szczególności.

Do jakiego stopnia ta ostatnia jest wykwintną, jeżeli do niej weźmie się prawdziwy talent, o tem poucza właśnie wymownie wspomniana wystawa. Weźmy n. p. takiego Henri Riviére'a. Jest on, jako litograf, przedewszystkiem pejzażystą, mistrzem subtelności kolorystycznych krajobrazu. Jego krajobrazy łagodne, miękkie, jakby roztopione w marzeniu, przypominają ogromnie opisy przyrody Piotra Loti'ego. Artysta ten, wyszedłszy z dusznej atmosfery kabaretów paryskich, w których słynął jako niezrównany inscenizator... cieniów chińskich, zwrócił się z całą miłością do natury, a specjalnie do dzikiego i ponurego pejzażu bretońskiego. Od Japończyków nauczył się on patrzeć po malarsku na przyrodę, im też zawdzięcza głębokie zrozumienie linji dekoratywnej, podczas, gdy od Monet'a, zdaje się, wziął dar podchwytywania najdelikatniejszych odcieni, najsubtelniejszych harmonji, najbardziej przelotnych wrażeń światła i barwy. Umie on, podobnie jak tamten, jedną i tę samą okolicę zaobserwować i przedstawić w stu rozmaitych oświetleniach. Technika jego, przy której posługuje się 10—15 płytami, czaruje świeżością akwareli, już to pełną siłą światła i farb, już to łagodnością gradacji i przejść, zawsze niezmiernie wytwornych.

Na sąsiedztwie Rieviére'a traci pod każdym względem Paul Berthon, twórca szeregu portretów i dekoratywnie stylizowanych figur, oraz kilku dobrych pejzażów. Tracą również inni wystawieni, choć nieraz ciekawi, Francuzi i Niemcy. Z pośród tych ostatnich wymienić jednak należy dzieła Thomy, Fikentschera, Hocha i Kallmorgena (*Künstlerischer Wandschmuck für Schule und Haus).* Jako równie wybitne, choć odmienne indywidualności, występują tylko: Mucha, o którym również już pisaliśmy z powodu wystawy plakatów, oraz Belg Cassiers, który przedstawia się zwłaszcza jako wyborny rysownik. Świetne są jego sceny z życia rybaków holenderskich. Cassiers, podobnie jak manierujący się zresztą coraz bardziej Mucha, jest także świetnym plakacistą. Wogóle plakat jest dziś głównem polem działania dla litografji, która jednak i samoistnie wywalczyła już dziś sobie na Zachodzie stanowisko zupełnie równorzędne z akwafortą i innemi sztukami graficznemi. Czas już ostateczny, by i nasza publiczność zrozumiała znaczenie tych sztuk, a artyści nasi i na tem polu w tyle za zagranicą nie pozostawali. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8